№ 18. WARSZAWA, 14 LIPCA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie: z odnosz. do domu r. k.		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	— 15
Numer pojedyńcz.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji ***Wiejska Nr. 15.***

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownym Prenumeratorom przypominamy, że czas odnowić przedpłatę na następny kwartał.

Stronnictwo chłopskiej krzywdy i narodowej hańby.

—o—

Wszystkie mowy naszych t. zw. posłów polskich w Petersburgu, wszystkie artykuły publicystów pism reakcyjnych powtarzają dziś nieustannie jedną i tę samą zwrotkę: pojęcia prawne naszego ludu są absolutnie różne od pojęć prawnych ludu rosyjskiego, raczej wielkoruskiego, zasada własności jest dla naszego ludu święta. Pan poseł Poniatowski zapewnia, że zna gubernje, w których potrzeba by co najmniej 400000 wojska dla zmienienia tych rdzennnych pojęć naszej ludowej świadomości prawnej. Ja sądzę, że do tego celu wystarczyłoby całkowicie *siły* istniejącego dziś u nas i w guberniach zachodnich proletarjatu bezrolnego, a pomimo to pracującego na roli, i małorolnego włościaństwa. Czy p. Poniatowski przypuszcza, że istotnie potrzeba by choćby 4-ch żołnierzy, ażeby zmusić jednego zwycięzcę w czworakach, zwanych, chlewach — Piotrów, Maćków, Bartków — do orania uprawianej przez nich roli na rachunek nie p. Skirmunta np. lecz na swój własny. Skłonny jestem zgodzić się, że p. Nakonieczny jest bardzo przywiązany do prawnej zasady, za bezpieczającej mu władanie temi $7^1/_2$ czy 10 morgami ziemi, jakie posiada. Niebardzo jednak mi się chce wierzyć, aby różnego rodzaju Wańkom, Szczepanom, Kubom tak już nadzwyczajnie zależało na zachowaniu ziemi p.p. Potockim.

Uprawnione jest dzisiaj pod pozorami prawnej uczonej dyskusji cyniczne matactwo. Mowy naszych posłów są zupełnie na poziomie tłómaczeń horodniczego z Rewizora: ta umowa sama siebie wysiekła rózgami.

Bartkowie i Maćkowie — zapewniają panowie posłowie, tak szanują *formę* własności, że, aby tylko jej krzywdy się nie stało, wyrzekają się ze wstrętem myśli wolnego posiadania ziemi. Chłop polski, głoszą ci panowie, tem różni się od rosyjskiego, że ma wstręt do ziemi, że lubi brać po pysku, jako parobek, tak jak karaś lubi być zapiekanym w cieście.

Przetłómaczone na język realny to bowiem znaczą naszpikowane trawką o dobro kultury — przemowy naszych reprezentantów, znaczą tu jeszcze co innego. Stronnictwo demokratyczno-narodowe, do którego należą nasi reprezentanci,—całą swą działalność na wsi skierowało ku zorganizowaniu z zamożnego włościaństwa coś w rodzaju narodowej ochrony istniejącego porządku, rozbudziło w tych pierwiastkach naszego włościaństwa najbardziej sobkowskie instynkty, zdławiło za jego pomocą wszelkie możliwe i potencjonalnie tkwiące w małorolnych i bezrolnych włościanach aspiracje. Stronnictwo szczyciło się z tego na swym cynicznym wiecu pseudo-chłopskim w Filharmonji. Szczyciło się, że utworzyło na wsi partję silnej pięści i że jest w stanie stłumić skuteczniej od ochrony rządowej wszelką agrarną agitację. Przykładu *podobnie planowego i bezwstydnego przeniewierstwa interesom warstw ludowych nie znaleźlibyśmy w historji.* Stronnictwo nazywa samo siebie niekiedy chłopskiem. Przyszłość, — o ile plany stronnictwa zostaną uwieńczone powodzeniem, —nazwie je kiedyś *stronnictwem chłopskiej krzywdy,* tak jak już dziś nosi ono w opinji wszystkich, co czują żywiej w Polsce, miano *stronnictwa hańby narodowej.* Posłowie polscy mówią: czyśmy tak gruntownie pracowali nad spaczeniem świadomości chłopskiej w naszym kraju, że dziś możemy spokojnie zapewniać: chłop polski pragnie uciemiężenia swych bezrolnych braci, myśmy wychowali z niego stróża pańskiej własności. Myśmy wychowali partję brytanów, pod opieką których dziedzice mogą spać spokojnie. I dziś idą do Petersburga zapewniać, że dzięki ich działalności lud polski składa się z takich stróżów spokoju, wyzyskiwaczów i ze steroryzowanej, otumanionej nędzy. Powinniśmy przyjąć to ich oświadczenie. Jest ono przyznaniem się do systematycznej, przez cały szereg lat uprawianej zdrady interesów ludowych. Stronnictwo demokratyczne organizowało lud, ale organizowało go w celu wytworzenia zeń straży bezpieczeństwa dla naszego mieszczaństwa i szla-

chty. Jeżeli potrzebaby 400000 wojska, aby naszym bezrolnym wiejskim proletarjuszom zapewnić ziemię, to dlatego, że stronnictwo narodowe zorganizowało z zamożniejszych pierwiastków włościańskich kontrrewolucyjną armję.

Ale tych 400000 nie będzie potrzeba, jeżeli przebudzi ją świadomość w upośledzonych pierwiastkach naszego włościaństwa. Przy dzisiejszych warunkach jest to możliwe tylko w jednej drodze, a to mianowicie w drodze *faktu dokonanego*. Gdy będzie uchwalone wywłaszczenie i zaopatrzenie w grunt małorolnych i bezrolnych, poczują oni sami swój interes. I o ile tylko organizacje postępowe wypełnią swe zadanie w tym momencie, demagogja stronnictwa hańby narodowej zostanie podkopaną. Powtarzam jednak, że może się to dokonać jedynie na gruncie faktu dokonanego.

Jeżeli autonomja uprzedzi u nas reformę agrarną, reforma ta będzie zeskamotowana. Kto tylko orjentuje się w stosunkach dzisiaj zorganizowanych sił społecznych u nas, będzie musiał się na to zgodzić. Przecenianie w celach samochwalstwa partyjnego postępowych sił naszego społeczeństwa musiałoby srodze pomścić się na sprawie samego postępu. Organizacja, bardziej sprzyjająca tej sprawie, musiałaby być urzeczywistniona na gruncie dokonanego faktu radykalnej *reformy agrarnej*. Jeżeli autonomja będzie o tem rozstrzygać, — istniejąca organizacja sił nie dopuści do tego faktu, który mógłby u nas zrewolucjonizować szerokie masy wiejskiego proletarjatu. Sejm, wybrany na gruncie już wzburzonym przez reformę, tę radykalną reformę agrarną—będzie postępowy. Wszelki inny będzie *reakcyjny*. Walka klas wystąpi u nas silnie i brutalnie w pierwszym wypadku, ale istnieje ona już dziś, i mamy pośród siebie gotowych do masakrowania ludu robotniczego wersalczyków. A więc reforma agrarna musi sprzedać autonomję, tylko wtedy będziemy mieli szanse zwycięztwa postępu u nas. Reforma agrarna w Petersburgu, Sejm w Warszawie potem—tak przedstawia się dziś sytuacja.

Jeżeli autonomja przyjdzie przed reformą agrarną, będzie ona znaczyć: wszechpolska wzmocniona ochrona. I jeszcze jedno. Szmaty wywłaszczone muszą tworzyć własność narodową bez indywidualnego prawa sprzedaży. Gdy p.p. Nakonieczny i Manterys wypowiadają wstręt swój do nacjonalizacji—należy czytać: mamy już leżące pieniądze na skupowanie gruntów u mniej zapobiegliwych sąsiadów. Nacjonalizacja ziemi musi być głęboko wstrętna przedstawicielom chłopskiego lichwiarstwa. Obywatele Aładjin, Anikin nie uwierzą: karaś nie lubi smarzyć się w śmietanie, chłop polski nie marzy bynajmniej o tem, aby być w pańskich czworakach podwaliną narodowego robactwa. Jest on o tyle zepsuty, że *chleb* na zagonie, uprawiany na własny rachunek, chociażby ten zagon stanowił własność narodową — będzie mu smakować wcale dobrze.

St. Brzozowski.

Poseł Sągajłło i demokracja chrześcjańska.

—o—

W dziejach rewolucyjnych z przedziwną regularnością powtarza się zjawisko, iż klasy panujące, ustępując z wyroku historji miejsca nowym rewolucyjnym warstwom społecznym, nie tylko zapierają się swej przeszłości rewolucyjnej, broniąc wszelkiemi sposobami idei legalności, ale nawet spotwarzają ideały, za które przodkowie ich oddawali z zapałem życie i mienie.

Wiemy aż nadto dobrze, jak mieszczaństwo francuskie po utrwaleniu panowania swego na zgliszczach Wielkiej Rewolucji, stawszy się panem nowego porządku społecznego, zwróciło się w obawie przed rewolucją z całą bezwzględnością przeciwko tym, którzy niedawno jeszcze walczyli wraz z nim na barykadach, bezczeszcząc jednocześnie święte niegdyś, teraz spowszedniałe hasła: wolności, równości i braterstwa. Dziś hasła te przez ironię chyba usymbolizowano w drobnej monecie państwowej! To samo powtarzało się w innych krajach.

Nawet w najwięcej demokratycznem państwie europejskiem — Szwajcarji, klasy panujące, po zniesieniu wszystkich zapór absolutystycznych rządów, przeszkadzających swobodnemu rozwojowi burżuazyjnemu, wymagającemu w imię „wolności i oczyzny“ tyle wysiłków rewolucyjnych, ze zgrozą spoglądają w przeszłość w przekonaniu, że dziś zagrożoną ojczyznę i wolność ocalić może od zagłady rzesz pracujących jedynie dobrze wypchany worek kapitalisty oraz wprawny bagnet wolnego obywatela.

Jeżeli pochodzenie „najlegalniejszych w świecie“ zawsze jest nielegalne, to tembardziej sama ich legalność jest wyrazem nielegalnego ucisku klas upośledzonych.

Zapominają o tem zawsze owi zapaleni apostołowie demokracji chrześciańskiej, którzy niechętnem okiem patrzą na każdy odruch ludowy w celu zniesienia chrześćjańskiego ucisku w społeczeństwie.

Chrześcjańska demokracja szwajcarska, którą tak apoteozował poseł Sągajłło w Dumie, wyrosła na tle kilkuwiekowego boju ludu z wszelkiemi wstecznikami i despotami. Wieki trwały te zapasy z tyranami i arystokratami, posyłającemi za najmniejszy opór głowy buntowników na szafot. Demokracja ta zroszona jest krwią Henzi'ów, Davel'ów i innych, jest ona krwawem żniwem długotrwałej wojny domowej.

I nie wiadomo, co więcej podziwiać należy w posłach polskich, zasłaniających swe zakusy reakcyjne chrześcjańskiem demokratyzmem szwajcarskim, nieuctwo, czy arogancję polityczną.

Szlachta polska, pierwsze mogąca zająć miejsce, jeśli chodzi o nielegalne pochodzenie polityczne, która stale zwalczała władzę królewską, aby zdobyć należne miejsce w państwie i móc „wolnie“ i legalnie gnębić kraj cały, która krwią, ogniem i żelazem utrwalała w ciągu wieków owo legalne swoje pochodzenie, zapiera się w obliczu rewolucji proletarjackiej swego pochodzenia rewolucyjnego, zasłaniając się legalnością demokracji chrześcjańskiej.

Jeżeli prawdą jest, że umarli szybko jadą — to na przykładzie naszej szlachty mamy niezbity dowód wymierania tej najokrutniejszej w walce, najbezwzględniejszej w środkach kaście społecznej.

Szlachta polska niema już ani sił ani rozumu powołać się na legalność własnego pochodzenia, ale kryje się za parawanik legalności rewolucyjnego mieszczaństwa szwajcarskiego.

Ale jak powoływanie się na chrześcjańską demokrację szwajcarską nie pozwoli ukryć wam właściwego charakteru konszachtów waszych, tak również krzyk rozpaczy nie powstrzyma przeznaczenia dziejowego, jakie ciąży nad wami.

Zamiast pytać Dumę „*gdzie pójść mają*“ wywłaszczeni „*obywatele*“ wasi, spytajcie chrześcjańską demokrację szwajcarską i australijską, którą daremnie haňbicie waszem braterstwem idej, dokąd posyłały one kiedyś obywateli takich, jakiemi wy jesteście dzisiaj.

St. L.

Z korespondencji narodowych demokratów.

Petersburg w czerwcu 1906 r.

Drogi Marjanie!—Wybacz, iż dotychczas listu ode mnie nie miałeś. Tysiączne sprawy wytrącały mi pióro z ręki, a nieznośni kadeci zapraszali nas z jednego posiedzenia na drugie, żądając byśmy wszędzie udział przyjmowali. — Wykręcaliśmy się, o ile przyzwoitość pozwalała, nie po to przyjechaliśmy tu, jako wysłańcy naszego narodu, by płucami swemi wilgotne cele petersburskich więzień suszyć, lecz by coś działać w Dumie dla nieszczęsnego kraju i ojczyzny.

Otwarcie Dumy było wspaniałe. Tłumy na ulicach witały nas entuzjastycznie. Nastrój wśród publiczności dla nas, polaków, bardzo przychylny — ale wkrótce kadeci dziwnie prędko poczęli dla nas chłodnąć i na wyrażone przez nas życzenie, ażeby któryś z nich zaraz na jednem z pierwszych posiedzeń Dumy podniósł kwestję autonomji Polski, odrzekli, iż jest to właściwie obowiązkiem *naszym, a nie ich.*

Okazuje się zatem najjawniej, że Post. Dem. od początku do końca kłamała i kłamie. — Z odmowy kadetów wynika, że cała umowa pedeków z kadetami co do autonomji jest wierutnym fałszem, inaczej bowiem zgodziliby się przecież podnieść pierwsi tę kwestję w Dumie. — Gdybyśmy o tem przedtem wiedzieli i nie uważali kwestji tej za zupełnie załatwioną przez pedeków w Petersburgu, nie bylibyśmy jej przecież wystawiali w swym programie, bo przyznasz sam, że nam —jako polakom – występować pierwszym z podobnem żądaniem jest jakoś nieprzyzwoicie. — Zresztą, poco się narażać?...

Przypuszczam, że chłód, wiejący od kadetów jest wskutek wiatrów z tamtej strony t. j. od Post. Demokracji. — Tak myśli sam Tyszkiewicz, Potocki, Massonius, wogóle przeważna ilość naszych. —Zapadła nawet w tej mierze uchwała, o której ci w tej chwili ze względów partyjnych pisać nie będę. —Fakt faktem, że onegdaj na ulicy widziano Rodiczewa, spacerującego z jakimś panem, o którym ogólnie w naszem Kole wiadomo, iż prenumeruje „Nową Gazetę“, a nawet, że jest jakimś dalekim krewnym tego Kempnera, oraz że po tej rozmowie Rodiczew poszedł do restauracji, gdzie niby to przy obiedzie spotkał się jeszcze z kilkoma kadetami. Już to wogóle żydzi są mściwi; darować swej porażki nie mogą, a że nigdy prawą drogą chodzić nie zwykli, więc i tu starają się popsuć naszą misję intrygami, by w ten sposób przygotować sobie grunt do przeprowadzenia w przyszłych wyborach swych z Góry Kalwarji. Prawda, że „Kurjer Warszawski“ nie trzymał się naszej dyrektywy, by zbyt daleko się w napaściach na żydów nie posuwał i zajął stanowisko za wyraźne. — Przestrzegaliśmy go, by zamiast wyrazu „żyd“ używał „obywatel wyznania mojżeszowego„, zamiast „żywioł obcy“ — „element nie rdzennie polski“, zamiast „separatyzm“ — „dążności usamodzielnienia“... Napróżno! już to wogóle Rabski po swym ślubie stał się strasznie katolickim; rzuca się, jak stara panna, kiedy jej mówić o latach; wpada w niepotrzebną pasję i nie potrafi dobierać odpowiednich wyrażeń, odsłaniając tem niepotrzebnie i — co najgorsze — przedwcześnie taktykę naszą. — Obecnie musimy naprawiać jego błędy i znów kokietować obrażonych żydów. — Do takiego poniżenia zmusza nas brak dyscypliny!...

Ale wracam do rzeczy. —Posłowie rosyjscy w Dumie są dla nas uprzedzająco grzeczni, prócz jakiegoś Aładina i Anikina, czy jak ich tam... Ich chamskie pochodzenie przebija w każdem słowie i ruchu. — Demagogiczne uroszczenia tych jednostek nabawiają niemałego kłopotu Dumę. — Tym ludziom zdaje się widocznie, że my wogóle możemy coś zdziałać, o ile ministerjum i sfery wyższe sobie tego nie życzą.—Ze strachem myślę, że ich dzikie wybryki o bezwzględnej amnestji, wywłaszczeniu obszarników, stawianiu administracji przed sąd mogą narazić Dumę w oczach władzy i zaszkodzić naszym najświętszym interesom ojczyzny. — Dziwię się niezmiernie, że Muromcew na to pozwala, a jeszcze więcej, że oklaskami (z grzeczności) kadeci jakoby upoważniają ich do dalszych w tym duchu przemówień.— Na własne oczy widziałem, jak po wyjściu z posiedzenia komisarz policji przyglądał się obu tym warchołom bardzo uważnie. —Takiem rozwydrzeniem słownem możemy być zgubieni, a co wtedy uczyni nasz biedny nieszczęśliwy kraj.

Obecnie my — Koło polskie — mamy o wiele więcej czasu.—Duma rozpatruje kwestje, które naszego udziału wręcz nie potrzebują. — Moglibyśmy śmiało na czas ten wyjechać, by nieco spocząć po trudach. Ciężko pracować na takie upały; po półgodzinnem krzyczeniu tych rozhukanych posłów rosyjskich doprawdy—w głowie się mąci. Chwała Bogu, przerwano czasowo te nieskończone debaty nad sprawą rolną; doprowadzały nas one do rozpaczy. — Chodziliśmy jak po rozpalonem żelazie. — Bo zważ tylko: opierać się całemi siłami reformom rolnym, skoro już sam Hurko i Styszyński zgadzają się na pewne ustępstwa — nie mogliśmy, gdyż dalibyśmy tem broń do ręki Postępowej Demokracji, czyhającej tylko na to, by nas — bojowników wolności

oczernić przed całym narodem; zgadzać się na projekty tych narwańców, przejętych manją reformatorską, też nie mogliśmy, bo cóż by na to rzekli wyborcy nasi, którzy nas nie po to przecież posłali, byśmy ich wywłaszczali, lecz — owszem — byśmy ich prawnie nabytych włości i mienia jak oka w głowie strzegli. — Milczeć... nie sposób w tak ważnej sprawie! — Nie uwierzysz, że trzy dni i trzy noce, zamknąwszy się na klucz, debatowaliśmy, jak z fatalnego położenia wybrnąć. Na szczęście wybawił nas z przykrej nad wyraz sytuacji zdrowy włościański rozum Manterysa. — Plan jego był cudowny i udał się w zupełności. — Oparł się on na stałej naszej taktyce — znasz ją przecież — mówić ogólnie... tak trochę „owszem"—trochę „niezupełnie" i tymczasowo zwlekać.

Tu dopiero poznaliśmy całą wartość słowa „autonomja", pomnik postawić temu, co je nam z programów innych partji wyłowił!... Więc, nie zgadzając się niby w zasadzie na słowa Potockiego o zachowaniu wielkiej własności ziemskiej nietkniętą, (bo pisaliście, że to tam, u was, niemiłe wrażenie wywarło) poczęliśmy, z początku półsłówkami, a potem coraz płynniej, dowodzić, że „co kraj to obyczaj",—słowem postawiliśmy kwestję ogólnie. Mówiliśmy, że to kwestja „dzielnicowa", powoli przeszliśmy do autonomji — nawet coraz wyraźniej zaczęliśmy mówić o tem. — Przyznam ci się, że choć nie jestem bojaźliwy (pamiętasz, jakiem śmiało godzinami całemi przemawiał na wiecach, nie obawiając się tych socjalistów i anarchistów), ale głośno wyrzeczone w Dumie słowo „autonomja" przejęło mnie dziwnym niepokojem. Mimowoli spojrzałem na wejście, za którem stała policja.—Ale czy te drewniane łby wiedzą co to takiego—stali sobie spokojnie. — Tymczasem Manterys nie zasypiał gruszek w popiele.—Rozpisał listy do kilkudziesięciu znajomych w różnych powiatach, by protestowali przeciw wywłaszczeniu, podziałowi, państwowej parcelacji, i t. d.—Powiadam ci, zaczęła napływać taka fala protestów, że wprost rady sobie z tem dać nie mogliśmy.—Wcale nie wiedziałem, że posiada on tyle znajomości!... Naturalnie, zaczęliśmy odczytywać te listy i depesze w Dumie na potwierdzenie słów naszych, iż cały naród jest za nami, że kwestja rolna, to kwestja autonomji (słyszysz, już nie „dzielnicowa"!) Stecki jeszcze palnął mówkę, no — i udało nam się jakoś cało przebrnąć przez te bagniska grząskie i niebezpieczne; przynajmniej o tyle, że przyszły inne kwestje, jak pogrom i o tamtej przestało się mówić. Swoją drogą obawiam się, że niedługo wypadnie do niej powrócić.

Musimy obecnie przygotować stanowczo coś śmielszego, radykalniejszego. — Łatwo Komitetowi Centralnemu żądać, byśmy byli umiarkowani... Tem umiarkowaniem szkodzimy sami sobie. — Przecież kadeci też nie są tacy groźni, jak się wydają na oko... Daj im tylko teki ministerjalne! — Ale oni rozumieją, że to „dobrze robi" powiedzieć coś czasami dla „kraśnego" słówka. — To trudno, przecież od takiego drobnego ustępstwa na rzecz warchołów i krzykaczy korona nam z głowy nie spadnie, a posłuch wzrośnie.

Już to ta partyjna subordynacja kością w gardle mi stoi. — Wpakowano nas — wyobraź sobie—tuż koło październikowców, koło skrajnej prawicy. — Jakie ohydne miejsca: bo to już nie tak rewolucyjnie wygląda i miejsca podłe, tuż przy drzwiach, przeciągi straszne, aż zęby mnie rozbolały, a Tyszkiewiczowi reumatyzm się odezwał!

Swoją drogą, nie daliśmy się tak łatwo. Protestowaliśmy. — Bo też to nie jest w porządku, by jakaś tam komisja sądziła o czyjejś rewolucyjności i radykalizmie. — Przecież cały naród przyznaje, i pisaliśmy o tem niejednokrotnie w „Dzwonie", że jesteśmy partją walki, przecież walczyliśmy już i walczymy z anarchją i socjalizmem nawet tam, w Warszawie, a cóż dopiero tutaj: przecież ogólnie wiadomo, że jesteśmy bardzo radykalni, że uznajemy nawet powszechne, równe i tajne głosowanie, że mamy swoich bojowców, że cierpimy za swe przekonania nietylko od socjalistów (Piotrowski), ale nawet od rządu (ja sam byłem zesłany na kilka miesięcy do Odesy — ale przecież nie będziemy tego tak ujawniać na zewnątrz, przecież nie będziemy o tem mówić... Byłby to zupełny brak kultury, przynoszący ujmę temu narodowi, który od wieków znał i zżył się z parlamentaryzmem. — Ja rozumiem, że możność wygadania się, to dla rosjan nowość, więc gadają; ale nie wolno im przecież zapominać, że nasi przodkowie już gadali, kiedy oni jeszcze państwo swoje budowali, że myśmy już zdążyli Polskę przegadać, kiedy oni jeszcze nie wiedzieli, co słowo „konstytucja" znaczy!.. Ale trudno, mój Marjanie, czekać na uznanie ludzkie, to jest to samo, co dogadać się nam, Narodowej Demokracji, z socjalistami i innemi burzycielami ładu społecznego!

Swoją drogą, jak sam widzisz, będziemy musieli zacząć się trochę awanturować. — Czekamy tylko na okazję, której jakoś dotychczas nie widać. Jak na złość rozprawiają obecnie w Dumie o tematach nas nie obchodzących zgoła: a to o pogromie w Białymstoku, a to o kozakach, a to o prawie zabezpieczenia osobistej nietykalności poselskiej. — Co to wszystko nas obchodzi? Wszakże u nas pogromów nie było, kozakami nie jesteśmy; a nietykalność poselska nas nie obchodzi, bo nas przecie nie zaaresztują; tak głupi nie jesteśmy, byśmy się mieli tak daleko zawanturować.

A propos-pogromów. — Pierwszą wiadomość o tem w Białymstoku otrzymaliśmy przy kolacji — Powiadam ci — cały apetyt straciłem. — Doprawdy, że to ohydne! Żydzi nie żydzi — wszystko jedno; zawszeć to jednakże są ludzie, stworzenia boskie; tego się nie powinno robić. Jeżeli nawet z temi petardami tam trochę zawinili, chociaż i co do tego tak zupełnie przekonany nie jestem i podejrzewam, że to jednakże była prowokacja, to w każdym razie w tych czasach się tak nie postępuje. — Nie dziwię się też, że kursy na giełdach spadły — przecież najwięksi potentaci finansowi — to żydzi. Wstrząsnęło to naszemi nerwami. — W pierwszej chwili chcieliśmy nawet pośród siebie składkę dla ofiar urządzić, ale rozmyśliliśmy się. — *Primo:* wyglądałoby to, że przypochlebiamy się żydom, *secundo*: nie wiadomo, jakby to było notowane w sferach wyższych — Koło polskie i składka na ofiary pogromu w Białymstoku. — Daliśmy zatem projektowi spokój — Dzięki Bogu, że u nas tego nie było. — Prawda, że żydzi strasznie się w ostatnich czasach rozpanoszyli, ale pogromy wcale nie są wskazane. Jedyna broń — to bojkot.—Ale teraz nie czas na to, bo byśmy sobie bardzo zaszkodzili, pośród posłów są tu wyśmienici mówcy żydzi, którzyby

nas zakrakali! zresztą, jak wolność — to wolność; o prawach żydów mamy czas mówić, kiedy otrzymamy autonomję.

Bardzo politycznie uczyniły nasze dzienniki, wyrażając współczucie żydom nie zaraz, ale dopiero w dniach następnych. — Dały tem do zrozumienia, że rzucenie petard w procesję nie było ze strony żydów postępkiem niemożliwym, wobec rozpasania tych „żywiołów obcych", jak ich słusznie nazwał drogi nasz „mistrz", ale zaraz przyznały, że to jednakże może czarne siły, i t. d. Świetny był artykuł w „Kurjerze Warszawskim" pod tyt. „Ohydna zbrodnia". — Po stylu poznaję Rabskiego. Ta bestja tak zawsze potrafi napisać, że wychodzi zupełnie, jak z przekonania!

Przykro mi tylko, że „Dzwon" pokpił sprawę. Nawymyślaj im tam — proszę — ode mnie w redakcji i powiedz, że to nie czas po temu, że tak teraz nie wolno, że żydzi są potęgą, że — volens nolens — liczyć się jeszcze z niemi musimy, że jeszcze przecież autonomji nie mamy. — Doprawdy, czasami aż mi ciąży ten partyjny obowiązek kłamania uczuć i myśli, lecz gdy pomyślę, że to dla dobra ojczyzny i narodu, urastam sam w swoich oczach i — zda mi się, żem Wallenrodem, i że cierpię za miljony.

W sprawach nas nie obchodzących, jak pogromy, kozacy, gwarancje nietykalności poselskiej, interpelacje i t. d. przyjęliśmy znakomitą taktykę — milczymy. — Przypominamy wtedy tych starych, szanownych senatorów rzymskich, co owinięci w togi — milcząc, śmierci zaglądali w oczy. — A że to się źle skończy — przepowiadam...

Żegnam cię, przyjacielu — wkrótce znów napiszę.

Twój *Franck*.

ANTONI MILLER.

Z dziennika prostytutki.

(Ciąg dalszy).

Listy matki palą mnie, jak powolny ogień. Kocham matkę i dla tego razy są tem boleśniejsze.

Przepiszę parę ostatnich listów.

. . . .

Kuncówka, dn. 29 czerwca.

Saluniu!

Spostrzegłam, że ojciec zatęsknił za tobą. Skorzystaj z tego — napisz, upokorz się. Pokora niebiosa przebija. Pamiętaj, żeś córka, że ojciec twój jest ojcem z woli Bożej. Saluniu moja, korzystaj z chwili roztkliwienia ojca! Wczoraj, siedząc przy kolacji, zażądał rzodkiewki ze śmietaną. Gdy zaczął jeść — powiedział łagodnym tonem: „Niema mej Saluni! Ona tyko umiała przyrządzać"! Przestał jeść i zamyślił się, nakładając tytoń do fajki. Uważasz, dziecko, on powiedział: „mej". Korzystaj, powiadam ci! Jeżeli nie możesz zaraz przyjechać, to napisz do ojca. Ja mu ręce ucałuję, i przebłagam go za ciebie.

Pytasz o zdrowie. Jak zwykle: reumatyzm i bezsenność. Nie mam ciebie i nikt mi nie umie tak natrzeć spirytusem ręki jak ty. Marcysia to robi po chamsku.

Ksiądz nas często odwiedza. Zacny! Pomimo niezadowolenia z twego warjackiego pomysłu wykładów chłopskim dzieciom historji polskiej — zawsze pyta: „Cóż z naszą Salunią? Chwat dziewczyna — ale szalona pałka"!

Interesa idą dobrze: No, ale ty o tem nie lubisz słuchać...

Birsztany dn. 12 lipca.

Jestem zachwycona tym uroczym zakątkiem Litwy. Modre, srebrzące się wody Niemna miękko, poważnie płyną przed oknami mej willi „Orwidówką" zwanej. Drugi, wysoki brzeg, zwieszający się pod ciężarem stuletnich sosen, rzuca na lustrzane głębie czerwone, brunatne i zielone plamy... Lekki wiew zefiru drga na powierzchni fali srebrną łuską, łamiącą te barwy... I zda się — woda wchłania je... Znika fala, — barwy jakby znów wracają z głębin i żarzą się, igrają ze słońcem... Wtem nadpływa tratwa — szara żółta plama na grzbiecie wód: rozpruwa znów barwne cienie lasu z dziwnie równym, niezmąconym spokojem i wolno — zgodnym z rzeką rytmem — znika za wygięciem półwyspu...

Dziś w nocy spadła na rzekę i park Kurzalu biała mgła. Siedziałam na balkonie sama... Mgła była tak gęsta, że nie widziałam wody — słyszałam tylko jej tajemniczy pomruk przy brzegu. Zdaje mi się, że gdyby nie ten szmer, łatwo bym sobie przedstawiła Nirwanę. Biała mgła — za którą niema życia — niema ludzi, niema ich głupich praw, niema bólów i radości! Biała mgła, która nie zagląda pod mój mózg, nie trwoży serca, nie drażni zmysłów! Ot! pozostać ze sobą, zapomnieć o swej dawnej łączności z życiem, nie czuć w sobie żadnych aspiracji do przyszłości! — Było mi tak dobrze z tą mgłą! Jedno tylko czułam wyraźne pragnienie: móc rozwiać się w tę mgłę pozostawić jedyną świadomość: rozkosz dotyku! — Wtenczas bym mogła płynąć porankiem ku kwieciu pól moich... Spowiłabym wierzchołki borów Litwy i Białej Rusi błękitnawą wieczorną smugą — osłaniając gniazda ptasie od oka jastrzębia. Całowałabym wierzchołki wirchów i lustrzane piersi jezior i rzek... Pragnęłabym również wchłaniać w siebie pierwsze, różane, ciepłe strzały Jutrzni...

* *
*

Prawie codzień zwiedzam górę Witoldową, na której stał zamek myśliwski księcia Litwy. Dziwię się, że wieśniacy, właściciele tej góry, nie eksploatują jej pod budowę willi.

Co za wspaniały widok! Na wschód, u stóp góry Niemen, za nim lasy, na zachód — głęboki wąwóz, — na północ obszar dwumilowy, przecinany srebrną wstęgą Niemna, zmieniającego swój bieg pięciu śmiałemi zakrętami. — Miasteczko stare z prastarą wieżycą i dobra „Zarządu" toną wśród zieleni płaczących brzóz, akacji i wspaniałych olch. Główna aleja — Aleja Westchnień ciągnie się wzdłuż brzegu Niemna. Stuletnie brzozy, — całowane lekkim zefirem — rzucają w największe upały

łagodny cień. Wichrów wielkich tu prawie nie bywa: lasy i góry otulają tę cudowną dolinę—dumę modrego Niemna.

Tyle pisano o tej rzece! — Poznałam ją nareszcie i widzę, że o niej śpiewać i śpiewać należy. Dosyć szeroka, szybko zmienia co chwila kierunek!

Brzegi coraz to inne: to kwieciem to lasami strojne... A duch historyczny przeszłości co chwila rodzi obrazy wspomnień... I tęsknotą miłości pała serce do tych kochanych wód! Całemi godzinami patrzę na cuda natury, otaczające mnie, — i jestem chwilowo szczęśliwa, bo mogę zapomnieć o swem istnieniu!

13 lipca.

Stan mego uczucia dla Kazia, jest jeszcze bardzo zmienny. Są chwile, kiedy jest mi bardzo blizki. Wtenczas oplatam objęciem, jak piekło palącem, i czuję rozkosz w jego męskiej, silnej odpowiedzi. Miewam takie chwile, że tylko ciało drży ku płomiennym rozkoszom, a serce, myśl — są zimne jak lód. — Częściej jeszcze jestem bierną zupełnie. Wtenczas zauważyłam, że twarz Kazia ma jakiś brutalny wyraz, który mię trwoży — i staję się bardziej zimną. Po takich chwilach przez cały dzień jesteśmy obojętni, zimno — grzeczni. Ale wieczór, wspólne przechadzki — rozpraszają zły nastrój i mrok nocy znów otula nas swym ponętnym płaszczem...

Teraz dopiero zaczynam wierzyć, że są małżeństwa, żyjące w rozpuście. Spójnia ciał w chwili wspólnej ducha tęsknoty, — to prawo natury; a spójnia ciał, korzystających ze wspólnej sypialni — ach, to nędza! to brud! Dlaczego nam matki o tem nic nie mówią?

Jeżeli się należy do kochanego mężczyzny, wszelkie odcienia zmysłowych zbliżeń mogą się stać poezją, wielkiemi godami życia.

Ale takiej miłości obecnie niema. Gdyby ona istniała — nie miałabym w Łodzi tylu żonatych wielbicieli. Gejsztor tłomaczył mi, że mężowie zbliżają się do kobiet „dla szkoły", której żony nie posiadają. —Ładne i znakomite uniewinnienie!

A nie wiedzą łotry, że „szkołę" ową, i to szkołę indywidualnego czaru stwarza sama kobieta — ale... tylko w szale miłości dyktuje jej modus godziny cudu.

* * *

(d. c. n.).

Władysław Wandycz.

TAJEMNICE STASIA.

—o—

(Ciąg dalszy).

Staś chodzi osowiały, zaspany. Przestał już myśleć o ogródku; ważniejsze sprawy pochłonęły go zupełnie. Stał się czujnym, bacznym na każde słowo, spojrzenie. Ojciec był niedobry dla mamy; powtarzały się sceny z rzucaniem pieniędzy; wychodził wieczorem i późno wracał do domu. Mama często płakała. Staś nie śmiał zapytać się; jak piesek zwijał się u jej nóg i tak leżał, bojąc się uronić jedną łzę.

Jednego wieczora przyszedł pan nauczyciel. Ojca w domu nie było. Przywitał się ze Stasiem serdeczniej, niż zwykle. Staś doznał dziwnie przykrego uczucia

W sąsiednim pokoju paliła się lampa; tam przeprowadziła mama gościa. Staś usiadł na kanapie; zamyślił się. — Staś nie jest już dzieckiem; jest już dorosły. Mamie nic może nic się stać, bo ją obroni. On wie wszystko... Obmyśla sposoby obrony: dostanie pieniędzy, wyjedzie z mamą na letnie mieszkanie—daleko na wieś; założą tam we dwoje ogród warzywny... — Głowa Stasia pochyla się wolno na tył kanapy — zasnął.

Nazajutrz Staś dowiedział się, że pan nauczyciel został „przeniesiony do innego miasta, że wyjeżdża na zawsze. Staś starał się ukryć w sobie radość, wywołaną tą wiadomością.

Postanowiono wysłać Stasia na wieś do znajomych, „aby się poprawił na świeżem powietrzu".

Staś całe dnie spędzał w ogrodzie nad sadzawką, łapiąc ryby na wędkę. Zajęcie to mechaniczne, niewymagające wielkiego wysiłku fizycznego, pozwalało mu oddawać się całkowicie rozmyślaniu nad problematami, których pełną miał głowę.

— Czemu ojciec rzuca mamie pieniądze?—bo jest zły na mamę, że go nie kocha... I o to chciał w łeb sobie palnąć?... Co robi ojciec całemi nocami, gdy go niema w domu? — gra w karty — całe noce — to bardzo długo. To musi być nudno, albo bardzo przyjemnie?... Gdyby Staś tak spał, to umarłby chyba?... Mama nie kocha tatunia. Dlaczego? — może dlatego, że ojciec jest dla niej niedobry?... Myśli Stasia plączą się zawsze, ilekroć w swych rozmyślaniach natrafia na ten punkt.

A może mama pokochała tatusia?...

Staś wrócił z wakacji z głębokiem postanowieniem, albo wcale nie ożeni się, albo tak, aby żona Stasia nie kochała żadnego pana nauczyciela".

Staś jest uczniem pierwszej klasy. Źle wygląda; katedry nazywają go głodomorkiem. Na lekcjach ogarnia go niekiedy taka senność, że musi walczyć z sobą, aby nie zasnąć. Przynosi czwórki i dwójki. Czasami Stasiowi wszystko dobrze idzie, rozumie, doskonale pamięta. Czasami znów nic mu nie wchodzi do głowy: jest wtenczas zupełnie głupi — sam to czuje — i ciągle śpiący; w takie dnie zbiera same dwóje. To bywa najczęściej wtedy, gdy Staś widzi mamę płaczącą. Nic nie wie, nie zauważa; nie śmie o nic zapytać się... Wie jednak, że wolałby nie chodzić do gimnazjum, — wstąpić do szewca, aby tylko wiedzieć, czemu mama płacze — aby mama wcale nie płakała.

Od czasu do czasu przychodzą do tatusia panowie na karty. Jest kolacja. Stasiowi dają pół kieliszka wódki Staś zaczyna brykać; wszyscy śmieją się z niego, że się upił. A staś naprawdę udaje wtenczas dorosłego; kładzie cylinder którego z panów, pokręca wąsa; raz wypalił całego papierosa...

Staś leży w swoim łóżku. W sąsiednim pokoju panowie grają w karty: siedem pik, na ręku, pięć kogutów... — To bardzo śmieszne: w kartach koguty i kury!... Stasiowi zaczyna się to podobać; projektuje

zaprosić kiedy kolegów na karty i wywoływać kury i koguty...

.... bez atu, pas, wpadliśmy... — słychać wciąż z sąsiedniego pokoju. Staś zasypia. Obudził się raptownie z uczuciem strachu: Staś także grał w karty całą noc; pożyczył od starszej siostry rubla i wszystko przegrał.

Usiadł na posłaniu. To tylko śniło się; Staś uspokoił się. Zauważa smugę światła, zmieszaną z szarzyzną dnia. Wstał z łóżka; spojrzał na zegar wiszący: już siódma; podchodzi do drzwi, zagląda: pokój pełen dymu, na stole flaszki. — To już nie wint: panowie zgarniają, odsuwają pieniądze; przy wincie pieniądze leżą na stole... Staś słucha: jeden pan coś opowiada; wszyscy śmieją się. Staś wyrazów nie rozumie: są niezwykłe; nigdy takich nie słyszał ani od mamy, ani od siostry. Muszą być bardzo nieprzyzwoite; słyszał kilka z nich, gdy czekał raz w bramie na jednego kolegę: jakieś dwie dziewczyny rozmawiały z jakimś panem; raz także słyszał, gdy był na spacerze — na placu obok koszar...

Staś powraca na posłanie. Zasnąć już nie może. Cieszy się, że naprawdę nie przegrał tego rubla: zdaje mu się nawet, że nigdy nie będzie grać w karty...

Panowie rozeszli się. Ósma biła, gdy tatuś wszedł do pokoju, w którym spał Staś. Otworzył okiennice. Staś udał, że śpi. — No zuchu, czas wstawać —usłyszał nad uchem; otworzył oczy, naśladując przebudzenie. Tatuś nachylił się nad Stasiem poklepał go po twarzy i wsunął mu w dłoń monetę. Staś spojrzał pod kołderkę: pięćdziesiąt kopiejek, jeszcze nigdy tyle nie miał!...

Przez drogę do szkoły Staś myślał: tatuś zapewne wygrał, bez wątpienia; gdyby był przegrał, z pewnością nie dałby...

Stasiowi zdaje się, że pieniądze wygrane nie są prawdziwą własnością. —Więc może te 50 kopiejek nie są tatusia? — może którego z tych panów? — To przypuszczenie odbiera mu dużą część przyjemności posiadania tak wielkiej sumy. — No, ale tatuś mógł przegrać, lepiej przecież, że wygrał. — Staś wyjmuje monetę i bacznie jej przygląda się; pociesza się:

— Tych 50 kopiejek tatuś nie wygrał, pewnie miał je przed grą... Może po południu już je przeznaczył dla Stasia, a potem zapomniał — bo Staś tego dnia przyniósł czwórkę...

Podczas przemiany, wyjmując chustkę do nosa. Staś wyrzucił monetę na podłogę. Nowicki to spostrzegł. Schylił się, podniósł, spojrzał na Stasia przebiegle.

— Zafunduj! — Staś nie protestuje. Nowicki schował monetę do kieszeni. Po lekcji znikł, Staś na chwilę zaniepokoił się. Nowicki powrócił z zapasami, kupił słonecznika, bani i chleba świętojańskiego; dziesiątkę pożyczył sobie, resztę przeliczył i wręczył Stasiowi.

Podczas kaligrafji cała klasa „gryzła“; zaśmiecono podłogę; na ostatniej lekcji klasowy gospodarz zauważył to, przeprowadził śledztwo; Stasia i Nowickiego posadził na godzinę do kozy. Nowicki w kozie był zły, kopał Stasia pod ławką, nazywając go szczeniakiem: według Nowickiego Staś był głównym sprawcą, a Staś myślał o pochodzeniu tych nieszczęsliwych 50 kopiejek. Napewno należały do któregoś z panów—dlatego siedzi teraz w kozie...

(d. c. n.).

Autonomja i Federalizm w ustroju państw konstytucyjnych.

(Ciąg dalszy).

Historja stosunku Anglji do jej kolonji dowodzi wymownie, że: wraz z rozwojem kapitalizmu samodzielność tych ostatnich wzrastała. Obecnie kolonje angielskie luźniej są związane z metropolją, niż kantony szwajcarskie i stany amerykańskie między sobą. Wprawdzie, teoretycznie rzeczy biorąc, kolonje angielskie zależą od parlamentu angielskiego; faktycznie jednak nie są zupełnie przezeń krępowane. Wprawdzie istnieje zarówno w Anglji, jak i w kolonjach pewien prąd opinji, który oświadcza się za ściślejszym związkiem wszystkich posiadłości korony angielskiej, związek ten jednak byłby daleki od form państwa centralistycznego i przyjąłby formę federacji.

W rozdziale trzecim omawiam kwestję autonomji narodowościowej nieterytorjalnej, której znaczenie wzrastać będzie skutkiem tego, że wraz z rozwojem ekonomicznym różne terytorja, poprzednio prawie jednolite pod względem narodowym, stają się coraz bardziej zaludnione przez ludność, należącą do różnych narodów.

Autonomja powyższa polegać powinna na umożliwieniu rozproszonej w państwie ludności, należącej do jednego narodu — posiadania wspólnego przedstawicielstwa z prawem regulowania przez uchwały spraw narodowo-kulturalnych.

Szczegóły czytelnicy znajdą w książce.

Wogóle kwestja autonomji narodowościowej nieterytorjalnej jest nową, ale bardzo doniosłą. Springer i ja sformułowaliśmy ją w sposób nieco różny niezależnie od siebie....

Nie ulega wątpliwości, że dziś już ma ona aktualne znaczenie w Rosji i Austrji dla niektórych narodów. Jako nowość wywołuje ona tu i owdzie ironję „tych, którzy nie mogą jej“ zrozumieć z powodu ciasnoty swego umysłu. Obszernie omówiłem w swej książce sprawę federalizmu. Dałem obraz instytucji prawno-państwowych w Stanach Zjednoczonych Amer. Półn. i wykazałem: że najwyższy rozwój kapitalizmu godzi się wybornie z federalizmem. W zasadniczych swoich podstawach konstytucja Stanów Zjednoczonych nie uległa zmianie w ciągu lat z górą stu. Kilkanaście zaś poprawek, dokonanych w ciągu tego czasu nie zmieniło bynajmniej jej charakteru.

Sprawy ogólno państwowe i handlowe należą do instytucji centralnych; natomiast każdy stan, w sprawach wewnętrznych jest całkowicie samodzielny. Frazes więc, że faktycznie w Stanach Zjednoczonych niema federalizmu, pozbawiony jest wszelkich podstaw realnych i wynika jedynie z nieznajomości rzeczy.

W Szwajcarji i w Niemczech widzimy także ustrój federacyjny; chociaż w tych ostatnich występuje on nie w czystej formie.

Jeżeli w Niemczech stronnictwa postępowe dążą do wzmocnienia władzy i atrybucji parlamentu centralnego kosztem sejmów państw poszczególnych, to dlatego, że parlament ogólno niemiecki, skutkiem obowiązującego dlań systemu wyborczego (powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania) jest liberalniejszy od sejmów krajowych w których system wyborczy zapewnia ogromną przewagę żywiołom wstecznym.

Zresztą państwo niemieckie, z małemi wyjątkami, zaludnione jest przez jeden naród, posiadający wspólny język i kulturę; z tego też względu nie byłoby nic dziwnego, gdyby w Niemczech tendencje centralistyczne i pomimo powyższej przyczyny silną odgrywały rolę.

Nastrój federalistyczny jest nader plastyczny i dogodny, ale jak z każdego innego, tak i z niego nie należy robić fetyszu.

Powinien on znaleść całkowite zastosowanie tam, gdzie poszczególne części państwa różnią się między sobą znacznie czy to pod względem gospodarczym, czy narodowym, niema natomiast racji rozdzielania bardzo jednolitych państw na poszczególne sfederowane ze sobą części.

Drobne części państwa bez odrębności kulturalnej i samodzielności gospodarczej, jako odrębne prawno państwowe organizmy, w federacji nie są pożądane, gdyż wytwarzają, albo utrwalają ciasny partykularyzm.

W ostatnim rożdziale rozpatrzyłem kwestję przekształcenia prawno-państwowego ustroju Rosji. Składa się ona z tylu najrozmaitszych części, że jedna centralistyczna konstytucja byłaby dla niej nietylko niedostateczną, lecz i szkodliwą.

Takie części państwa, jak: Król. Pol., Gruzja, Prowincje Nadbałtyckie, Litwa etnograficzna, Mołorosja powinny posiadać rozległą autonomję polityczną. Niektóre z tych części mogłyby już dziś ją osiągnąć z powodu swej wybitnej odrębności, dość wspomnieć Król. Pol. Inne natomiast z rozmaitych powodów narazie całkowitej autonomji politycznej uzyskaćby nie mogły. Stosuje się to naprz. do Litwy etnograficznej, a to dlatego, że język litewski nie rozwinął się jeszcze o tyle, aby mógł zapanować w wyższych zakładach naukowych w prawodawstwie miejscowem i t. p. Wynika z tego, że jedne części państwa musiałyby uzyskać całkowitą autonomję, inne zaś do czasu mniejszą.

W każdym razie rozwój ustroju prawno-państwowego Rosji podążać powinien i zapewne będzie od dzisiejszego centralizmu ku federalizmowi.

Z czasem, kiedy nowy ustrój konstytucyjny się utrwali, kiedy prowincje przemysłowe państwa szybko posuną się w rozwoju, kiedy zapanuje pewien antagonizm między prowincjami postępowemi (przemysłowemi a względnie zacofanemi rolniczemi) — prawdopodobne jest, że i same rdzennie rosyjskie prowincje wytworzą odrębne terytorja, posiadające całkowitą samodzielność wewnętrzną i że cała Rosja przeobrazi się na olbrzymie państwo federacyjne.

Będzie to dogodne dla całości i części państwa. Bardziej postępowe prowincje będą miały wyższe instytucje i wcześniej realizować będą nowe formy życia zbiorowego: konserwatywniejsze będą miały instytucje mniej postępowe. Racjonalniej jest: aby każda wielka prowincja, każdy kraj miały instytucje, odpowiadające ich własnym siłom społecznym, niestwarzanie jednego szablonu w olbrzymiem państwie dla całego terytorjum, którego ludność stoi na rozmaitych stopniach rozwoju. Postęp społeczny odbywać się będzie szybciej w federacji, niż w centralizowanem państwie; nowe instytucje powstaną szybciej w poszczególnych częściach państwa, niż w całości.

Pisarz francuski Donnat zwrócił słuszną uwagę na to, że federalizm umożliwia doświadczenie polityczne; łatwiej bowiem na mniejszem terytorjum rozpocząć śmiałą akcję reformatorską, niż na wielkiem.

Co do Król. Pol. i jego stosunku do Rosji, to w pracy swej oświadczyłem się za jego całkowitą autonomją polityczną. Wszystkie sprawy wewnętrzne, nie wyłączając prawodawstwa socjalnego, powinny być pozostawione sejmowi krajowemu w Warszawie. Tylko sprawy dotyczące: dyplomacji, traktatów wszelkiego rodzaju, monety, ustaw o kolejach żelaznych, telegrafach, obronie krajowej pozostawić należy władzom centralnym. Administracja Król. Pol. powinna być odpowiedzialna przed sejmem.

Nieporozumienie, wynikające w kwestji kompetencji władz, rozstrzygać powinna władza sądowa t. j. Najwyższy Trybunał Państwowy.

Całkowita autonomja polityczna Król. Pol. potrzebną jest nie tylko ze względów narodowych, ale i socjalnych. Układ sił społecznych w Król. Pol. inny jest, niż w Rosji: wysoko rozwinięty kapitalizm w kraju naszym, liczniejszy w stosunku do ogółu ludności proletarjat, większe zróżniczkowanie ludności wiejskiej — wszystko to sprzyja większemu rozwojowi demokratyzmu i wpływowi klasy robotniczej w Król. Pol., niż w Rosji. Wprawdzie warstwy wyższe i średnie są postępowsze w Cesarstwie niż u nas; ale zjawisko to jest czasowe. Po utrwaleniu się zdobyczy konstytucyjnych, pójdą one na prawo tak, jak w Niemczech po 1848 roku, a szczególnie po 1870 r.

Oczywiście nie dość jest domagać się autonomji, trzeba jeszcze oprzeć ją, jak i ogólno-państwową konstytucję swobody obywatelskiej na jaknajszerszych, jaknajdemokratyczniejszych podstawach.

System jednoizbowy, powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo głosowania — oto podstawy konstytucji.

W pracy swej dałem także szkic urządzeń prowincjonalnych w Król. Pol.

Dla braku miejsca pominąłem w tym referacie wiele spraw, poruszonych jeszcze w mej książce.

W końcu zaznaczę, że chociaż od $1^1/_2$ roku mówi się u nas dużo o autonomji, chociaż delegaci polscy brali udział w obradach zjazdów ziemców — jednakże postępowa część społeczeństwa rosyjskiego do dziś dnia nie wie dokładnie, jakiej autonomji domagają się dla Król. Pol. stronnictwa polskie. Dowodem czego służyć może artykuł pryw. doc. Jastrebowa w „Stranie", wydrukowany przed miesiącem.

Dziwić się trzeba, że żadne z naszych stronnictw nie wydało dotychczas pracy w języku rosyjskim, po-

święconej autonomji Królestwa Polskiego. Jest to karygodne niedbalstwo.

II.

Celem książki mej „Autonomja i Federalizm“ było rozpatrzenie stosunku kraju do państwa złożonego, omówienie zakresu jego samodzielności w sprawach własnych, a to dlatego przedewszystkiem, żeby ułatwić czytelnikom polskim wyrobienie poglądu na to, jaki być powinien stosunek racjonalny i zarazem pożądany dla społeczeństwa naszego — między Królestwem Polskiem, a Cesarstwem. Ten cel został wyraźnie wypowiedziany w przedmiocie: „moment, który przeżywamy, jest wyjątkowo ważny; konieczną jest rzeczą, aby jaknajszersze koła społeczeństwa polskiego zdawały sobie jasno sprawę z tego, jaki ustrój konstytucyjno-autonomiczny dla Król. Pol. jest najodpowiedniejszy i zarazem możliwy“. Z powyższego określenia wynika: że przedmiotem mej pracy był opis różnych stosunków kraju do państwa złożonego. Jeżeli mówiłem w rozdziale pierwszym o samorządzie i autonomji prowincjonalnej w państwach względnie jednolitych, jak: Francja, Prusy i Anglja (właściwa), to dlatego tylko, żeby przedstawić różne stopnie samodzielności pewnych terytorjów państwowych.

Ocena książki mej powinna więc za punkt wyjścia brać cel, który sobie wytknąłem, a nie narzucać mi inne zupełnie opracowanie, które zupełnie świadomie usunąłem.

Pan Mendelson jednak w № 5 książki inaczej pojął rolę sprawozdawcy-krytyka: zamiast rozpatrywać to, co stanowi istotę książki t. j. omawiać stosunek kraju do państwa,—warunki, które wpływają na jego centralizację i decentralizację; zamiast zastanowić się nad tem, jaka forma stosunku Król. Pol. do Cesarstwa jest najodpowiedniejsza—woli on wyrazić swe naiwne niezadowolenie z powodu, że napisałem inną książkę niż ta, którą chciał mieć.

Przejdźmy jednak do rozpatrzenia zarzutów, robionych mi przez p. Mendelsona.

Pierwszy opiewa, że, pomijając określenie państwa, uniemożliwiłem przez to należyte rozpatrzenie kwestji autonomji i federalizmu. Na to odpowiem, że jest bardzo dużo dzieł cennych, omawiających powyższą kwestję, a nie zajmujących się teorją państwa. Dość wspomnieć naprz. pracę chociaż dawną, ale jedną z najlepszych — H. de Ferron'a p. t. „Institutions municipales provinciales comparées“. W pracy tej autor daje porównawczy obraz instytucji miejskich i prowincjonalnych, nie wchodząc wcale w zagadnienia, dotyczące celu i istoty państwa.

Przykładów takich mógłbym przytoczyć wiele. Pan Mendelson, widocznie nieobeznany jest z literaturą filozoficznie prawną, gdyby bowiem miał o niej jakie takie wyobrażenie, wiedziałby, że: po pierwsze, definicje, dotyczące państwa, są nadzwyczaj sporne, i poruszanie ich w popularnej książce jest niewłaściwe, gdyż wymagałoby omówienia całego szeregu innych zagadnień; po drugie — że definicje państwa nie rozjaśniłyby kwestji autonomji i federalizmu, gdyż nie instytucje te kształtują się według definicji spornych, ale definicje są wyrazem różnych tendencji praktycznych w życiu politycznem. Stosownie do tego, jakich celów praktycznych bronią teoretycy, czy są albowiem naprz. za interwencją państwa między pracą i kapitałem, za szeroką decentralizacją i t. d., dają takie albo inne określenie państwa. Nie rozumieć tego, znaczy nie mieć żadnego wyobrażenia zarówno o filozofji prawa, o samem prawie, jak i o życiu społecznem wogóle. Ale p. Mendelson ma umysł średniowieczno-scholastyczny, zrozumienie więc powyższych rzeczy przekracza zakres jego zdolności. Jak są ludzie naiwni, co sądzą, że wszystkie zagadnienia etyczne w życiu rozwiązać można przy pomocy kilku formułek, zaczerpniętych z katechizmu szkolnego, tak p. Mendelson definicje państwa uważa za uniwersalny środek rozwiązywania różnych zagadnień prawno-państwowych.

Pisząc swą książkę, miałem do wyboru dwa sposoby przedstawienia rzeczy: mogłem główną uwagę zwrócić na różne definicje państwa, samorządu, autonomji, federacji, unji osobistej i realnej, a ponieważ wszystkie one są sporne, niektóre z nich nawet bardzo, więc musiałbym czytelnikom dać zawiły wykład, przeplatany ciągłemi cytatami różnych teoretyków, co zwiększyłoby w dwójnasób rozmiar książki; albo też mogłem usunąć owe definicje na plan ostatni i przedstawić nie formułki bez życia i określenia sporne, ale rzeczywistość t. j. obraz istniejących instytucji państwowych. Wybrałem sposób drugi, jako lepiej odpowiadający memu celowi. Bez względu na to, jak nazwiemy stosunek Austrji do Węgier, Kanady do Anglji, Kroacji do Węgier — poznanie tych stosunków jest ważne dla lepszego orjentowania się w naszych sprawach.

P. Mendelson zarzuca mi, że pojęcia autonomji i samorządu są dla mnie synonimami, i że twierdzę tylko, iż niektórzy prawnicy rozróżniają je. Otóż nie poprzestałem na tem, lecz pisałem jeszcze na str. 77, że autonomja oznacza prawo stanowienia praw dla pewnych jednostek terytorjalnych przez jego ludność; samorząd zaś stwarza udział mieszkańców poszczególnych terytorjów w administracji miejscowej.

Rozróżniam więc te pojęcia, twierdzę jednak, że w praktyce autonomja i samorząd kraju, albo prowincji łączą się ze sobą najczęściej. I tak jest istotnie.

Aby wykazać sporność różnych definicji wspomnę jeszcze o autonomji i federacji. Najczęściej spotkać można twierdzenie, że autonomja prowincji, albo kraju czerpie swe prawa wyłącznie od centralnej władzy państwowej; a że w federacji wszystkie części państwa posiadają swe własne prawa, będące wyrazem ich charakteru państwowego. Otóż określenia te nie są w stanie objąć całego bogactwa form prawno-państwowych. Naprz. Kroacja posiada autonomję i nie jest z Węgrami związana węzłem federacji, a jednak ma swoje krajowe ustawy zasadnicze, określające zakres jej autonomji—ustawy, których sejm węgierski sam bez kroackiego zmienić nie może. Trudno też wcisnąć do istniejącej definicji stosunek Kanady i Australji do Anglji. Prowincje te posiadają coś więcej od autonomji, nie znajdują się jednak z Anglją w związku federacyjnym.

Dla ludzi, obeznanych dokładnie z literaturą naukową i z życiem politycznem, wszystko to jest wiadome; dla scholastyków jednak, dumnych z przeczytania jednego podręcznika prawa państwowego, jest tajemnicą.

Na str. 77 i 78 pracy mej wyjaśniłem już stanowisko swe wobec metafizyki prawno-państwowej:

„Nie będę tu analizował, pisałem, różnych teorji o słuszności praw jednostek terytorjalnych w państwie do autonomji i samorządu, które nie objaśniają zupełnie powyższych zjawisk, będących wytworem realnych potrzeb społecznych, a nie takich lub innych koncepcji prawa państwowego. Nie o to bowiem chodzić powinno, czy gmina albo prowincja ma prawo lub nie do samodzielnego rozstrzygania swych praw, niezależnie od władzy państwowej na podstawie swej egzystencji przedpaństwowej, albo czy jednostki terytorjalne są lub nie jednostkami prawnemi, lecz o pożytek autonomji dla społeczeństwa i państwa“.

Jeżeli p. Mendelsonowi rozumowanie powyższe się nie podobało, to powinien był je zbić, a nie robić mi ogólnikowego zarzutu, że pomijam metafizykę prawną.

Wogóle p. Mendelson niema wyobrażenia o pisaniu sprawozdań umotywowanych. Gdyby je bowiem miał, to zamiast frazesów, mających tylko subjektywne znaczenie, przedstawiłby dokładnie, w czem mianowicie

brak definicji państwa odbił się ujemnie na mem przedstawieniu rzeczy.

(d. c. n.).

L. Kulczycki.

Praktyczne niebezpieczeństwa pseudo-marksizmu.

Sprawa, którą tu chcę podnieść, posiada dziś bynajmniej nie wyłącznie teoretyczne znaczenie. Związana jest ona najściślej z najżywotniejszą i najbardziej palącą praktyką dnia bieżącego. Teoretyczne nieporozumienie ukazuje nam żywą rzeczywistość i nasz stosunek do niej w błędnem świetle. Marksizm, szkoła życia—metoda żywotnej, nieznającej uprzedzeń i zacieśnień pracy, konsekwentne przezwyciężenie wszelkiej scholastyki, wszelkiego zastępowania rzeczywistości i przesłaniania jej sobie przez pojęcia—stał się sam scholastyką.

A więc znowu kryzys w marksizmie?

Bynajmniej, wszystkie dotychczasowe kryzysy — były same wytworem pseudo marksizmu. Marksizm istotny i rzeczywisty pozostał poza granicami sporu; nietknięty zarówno przez zarzuty oponentów jak i niekonsekwencje apologietów.

Do innej chwili muszę odłożyć bardziej akademicko poprawne uzasadnienie wielu poruszonych tu teoretycznych zagadnień. Tu muszę nacisk położyć na wynikach roztrząsań i na ich praktycznych konsekwencjach.

Marksizm—jest nauką o konieczności społecznego rozwoju. Nie zbłądzę—zdaje się, jeżeli powiem, że w tej formie przedstawia się on u większości swoich zwolenników. Czem jednak jest ta konieczność? Antoni Labriola szydzi dowcipnie i słusznie, że nastąpi dzień, w którym tow. Enrico Ferri zaproponuje jakiemuś zjazdowi partyjnemu rzucać na ostateczną podstawę socjalizmu — wibracje eteru. Wielu z pośród polskich, a i nietylko polskich „marksistów"—sprawa konieczności, zawartej w marksizmie, przedstawia się istotnie w sposób, nie stawiający żadnych przeszkód takiemu „rozszerzeniu" jego podstaw. Trudno przeczyć, że sam Engels w swoim *Anti-Dühringu* ulegał temu błędowi. Błędowi, gdyż jest to stanowisko, utrzymać się filozoficznie nie dające, a co więcej, pozostające w sprzeczności z zasadniczemi założeniami marksizmu.

W samej rzeczy: konieczność rozwoju przyrodniczego, przeobrażenia materji i t. d. — wszystko to są *pojęcia ludzkie*, odpowiadające pewnemu stanowi społecznego rozwoju, i jako pojęcia abstrakcyjne bezwzględnie niezdolne wyczerpać całej rzeczywistości. Gdy te pojęcia podstawiamy na miejsce rzeczywistości i ich rozwój podstawiamy na miejsce rozwoju tej ostatniej, uznajemy, że wiedza ludzka o rzeczywistości, osiągnięta na pewnym stopniu rozwoju, wyczerpuje *całą* treść rzeczywistości, czyli że dalszy rozwój nie jest w stanie nic przynieść w dalszym ciągu, więc chodzimy „na głowie zamiast na nogach." Materja i prawa jej rozwoju jest taką samą abstrakcją — taką samą „ideologiczną konstrukcją" — jak Heglowska ideja. Djalektyka marksowska, gdyby znaczenie jej polegało na zastąpieniu pojęcia ideja — przez pojęcie „materja", pozostałaby również pozorna, jak Heglowska, również bowiem dobrze, jak ta ostatnia, skazaną byłaby na utożsamianie logicznego rozwoju pojęć z poza logicznym rozwojem rzeczy. Znaczenie marksizmu polega zaś na uznaniu, że *wszelkie* pojęcie o rzyczywistości jest zawsze wynikiem istniejących już pomiędzy człowiekiem a światem stosunkiem, wytworem dotychczasowej techniki i ustalonych na jej podstawie stosunków społecznych. Dzięki temu też poza granicami tego pojęcia musi pozostać wszystko to, co ma być zdobyte dopiero — cały dalszy postęp ludzkości. Dlatego też właśnie wszelka konstrukcja pojęciowa rozwoju społecznego, jako z natury już oparta na abstrakcjach, zaczerpniętych z rzeczywistości przeszłej czy obecnej—nie jest zdolna do objęcia rzeczywistości przyszłej, i musi być reakcyjną—niezależnie od tego, czy przybiera formy utopizmu, idealizmu, czy materjalizmu. Gdyby rozwój przyszły dał się wydedukować—człowiek byłby tylko wykonawcą raz na zawsze ustalonych wyroków—nie zaś—jak mówi Marks—autorem i aktorem jednocześnie własnego dramatu. Przypuszczać, że rozwój ludzkości da się wydedukować z jakichkolwiek pojęć — jest to nie rozumieć *zasadniczej pracy*, dokonanej przez Marksa. Czem więc staje się konieczność rozwoju? Znaczenie jej zaraz postaram się wyjaśnić, tu zaś tylko przypomnę, że do żadnych konkretnych wniosków przeważnie ona nie może dojść, gdyż mogłaby to czynić jedynie — gdyby przyjęto za podstawę wywodu—jakieś pojęcia. Pojęcia zaś—jak to już zaznaczyłem, są z konieczności zacieśnieniami rzeczywistości. Praktyczne znaczenie zaś miałaby teorja marksowska, pojęta, jako teorja konieczności społecznego rozwoju — tylko w konkretnej postaci. Przynajmniej, jeżeli mówimy o pozytywnem znaczeniu.

Właściwe znaczenie metody Marksowskiej wynika już z tego, co powiedziałem, polega ono na tem: praca przetworzeń społecznych jest istotnie pracą, czyli stwarzaniem rzeczy nowych, — i dzięki temu właśnie jest nieustannem przezwyciężaniem i wyzwoleniem się z pod władzy pojęć. Na tem polega wielkie negatywne, właściwiej może będzie powiedzieć: *krytyczne* znaczenie marksizmu. Jest on nieustanną krytyką, dokonywaną w imię żywej rzeczywistości, w imię żywej pracy i jej konkretnych zagadnień i potrzeb—nad myslami, idejami, pojęciami. Krytyka ta wskazuje, że życie jest — i staje się, że zatem teorje go nie powstrzymają i tu przybiera postać owej absolutnie pozaludzkiej, czysto przedmiotowej konieczności. Gdy jednak wysuwa na pierwszy plan tę konieczność—musi podstawić już djalektykę logiczną na miejsce pozalogicznej życiowej, czyli ulega w zamaskowanej formie temu samemu błędowi, jaki zwalcza.

Jednocześnie zaś ukazuje się inna stronna sprawy, pozytywna—twórcza strona marksizmu i pozytywne znaczenie konieczności, wprowadzonej przezeń. Każde przeistoczenie społeczne może być dokonane tylko, jako praca i podlega tej samej logice, co ta ostatnia. Innemi słowami musi ono mieć wszystkie swoje środki i cały materjał. Środkami i materjałem przetworzeń społecznych są ludzie. Ludzie ulegają w swoich przeisto-

czeniach różnym kolejom. Z pośród wszystkich zmian, jakie sami w sobie wytwarzają—sumują się i narastają tylko te, które są związane z pracą i jej służą. Wszystkie bowiem zmiany narastające, lecz sprzeczne z interesami pracy prowadzą nieuchronnie do podkopania samego znaczenia danej grupy ludzkiej w świecie i w ten sposób do samounicestwienia.

Gdy więc badam szanse danego programu społecznego—badam, czem jest on dla pracy ludzkiej. Gdy usiłuję rozwiązać zagadnienie, jak dana zmiana wprowadzona być może, rozpatruję, jak i kiedy stanie się ona wyrazem interesów pracy. Słowem, nie kiedy urzeczywistni ją jakiś rozwój, lecz jak i w jakich warunkach będą musieli urzeczywistnić ją pracujący ludzie. Nie badam więc, co ma być wynikiem fatalnym jakiegoś niezależnego ode mnie rozwoju, lecz co w danych warunkach odpowiada potrzebom pracy i jej narastaniu, gdyż tylko to stanie się koniecznem.

Nie łudzę się, aby rozwijane tu poglądy przekonały dziś znaczną ilość umysłów. Wymaga to znacznego wysiłku umysłowego. Polski intellekt zaś dziś zajęty jest roztrząsaniem interesujących zagadnień, o ile „sztuka jest rewolucją“ a „rewolucja sztuką“. Zrezygnowałem już jednak całkowicie z naiwnej manji oddziałania na objawiającą się w literaturze umysłowość polską. Piszę dla ludzi, dla których myśl jest pracą. Dla polskiej literatury jest ona co najwyżej dostarczycielką efektów i frazesów. Nie łudzę się więc tembardziej, żeby moje pojmowanie marksizmu mogło stać się popularnem. Ukazuje ono marksizm tem, czem jest — metodą ciężkiej pracy. Przyjemniejszą zaś jest, wyzwalająca od pracy mitologja. Nasi zaś przezwyciężający marksizm czynią to à la krakowska *Krytyka* na rzecz wszechwładzy ideału, czyli frazesu. Przykro mi, jeżelim się do wznowienia tego rodzaju idealizmu przyczynił.

Konsekwencje praktyczne z wyłożonych tu zapatrywań są jedne.

Gdy się wierzy, że przekształcenie społeczne jest dziełem przedmiotowej konieczności — lekceważy się wszystko—co nie jest tego koniecznego rozwoju ostatniem szczytowem ogniwem—bojkotuje się studja pośrednie i wypowiada się im swą rewolucyjną wzgardę. Dlaczego czyni się te manifestacje w imię Marksa, nie wiem, lub też wyprowadza się wniosek wprost przeciwny. Stadjum proletarjatu przyjdzie — jak stadjum burżuazji. Służąc burżuazji, służy się proletarjatowi. Logika Piotra Struwego.

Z naszego punktu widzenia robotnicze interesy są nieustanną podstawą pracy: w każdych warunkach i w każdym momencie wyzyskiwać należy dla nich istniejące położenie. Socjalizm polski nie jednego będzie się musiał nauczyć i czasu tracić mu na pielęgnowanie iluzji i wytworzonych przez nienormalne warunki niezakończonego jeszcze okresu nie wolno.

St. Brzozowski.

Wiadomości Bibljograficzne.

1) St. A. Kempner. Zarysy Ekonomji Społecznej, wydanie II. Warszawa, nakł. ks. E. Wende i S-ka 1906 r.

2) Litwin. Droga do rozwiązania kwestji chleba, czyli Teorja i polityka ekonomji społecznej. Warszawa, E. Wende i S-ka 1906 r.

3) H. Konic. Samorząd Gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innemi krajami europejskiemi, wydanie II. Warszawa, nakł. księg. E. Wende i S-ka. Cena rb. 1 — 80 kop.

4) Inż. R. Niewiadomski. Materjały i Uwagi do oceny gospodarki finansowej Państwa Rosyjskiego. Warszawa, skład główny księg. Gebethnera i Wolffa 1906 r. Cena 60 kop.

5) Dr. Z. D Golińska. Miasta i cechy w dawnej Polsce z rysunkami w tekście. Warszawa, skład główny księg. Naukowej 1906 r. Cena 30 kop.

6) A. Thomas. Związki zawodowe w Niemczech, tłumaczył z upoważnienia autora Leon Oxner, zesz. II. Warszawa, księg. Naukowa 1906 r. Cena 35 kop.

7) Przyczynowość. Prace nagrodzone na konkursie „Przeglądu Filozoficznego“ zesz. II i III. Warszawa 1906 r.

8) F. Piotrowski. Opis ciała ludzkiego, czyli Antropografja, pierwsza książeczka po elementarzu uporządkowana nauka o rzeczach, Warszawa skład główny księg. E. Kolińskiego, 1906 r. Cena 10 kop.

9) P. J. Żazowski i K. Siwicki Życie Płciowe Warszawskiej Młodzieży Akademickiej, według ankiety z roku 1903. Warszawa, nakł. księg. Naukowej 1906 r.

10) B. Hryniewiecki. Nasze lasy, wydanie 2-gie Warszawa, nakł. księg. Naukowej 1906 r.

11) S. Klebanowski. Skrót matematyki niższej ułożony specjalnie ku poznaniu słownictwa matematycznego polskiego. Podręcznik dla składających egzaminy, część I Arytmetyka. Warszawa, nakł. księg. Naukowej 1906 r.

12) Sèailles Gabryel. Demokracja i oświata, przełoż. K. Drzewiecki, Warszawa, Gebethner i Wolff 1906 r.

Stanisław Brzozowski przyjmuje przekłady dzieł z zakresu filozofji i nauk społeczno-ekonomicznych z języków niemieckiego, rosyjskiego, angielskiego i włoskiego.

Adresować — Lausanne Pension les Mysthis,

St. Brzozowski.

OGŁOSZENIA.

Fabryka Farb. dawn. Fr. Bayera i S-ki

w Elberfeldzie.

„SOMATOZA"

Somatoza — środek odżywczy i posilny dla osób osłabionych i rekonwalescentów.

Somatoza — wyrabia się z mięsa i zawiera ciała białkowe i odżywcze sole.

Somatoza — zawiera lekko strawne części składowe, które się szybko wchłaniają i podnoszą odżywianie organizmu.

Somatoza — w wysokim stopniu pobudza apetyt.

Somatoza — w krótkim czasie podnosi wagę ciała i po 2 — 3 tygodniowem jej użyciu można już zauważyć przyrost wagi do kilku funtów.

Somatoza — jest naturalnym środkiem wzmacniającym dla słabowitych i rekonwalescentów.

Somatoza — proszek łatwo rozpuszczalny w płynach: mleku, kawie, kakao, czekoladzie, herbacie, zupie i t. p., nie posiada żadnego zapachu ani smaku, bywa chętnie używana.

Chorym, potrzebującym żelaza, najlepiej podawać **Somatozę żelazistą** t. j. Somatozę, zawierającą 2 i pół % żelaza w połączeniu organicznem, w którem zupełnie nie czuć smaku żelaza.

Chorzy, mający wstręt do mięsa, lub też dzieci, skłonne do biegunki, winni używać **Somatozy mleczne**, t. j. Somatozy przygotowanej z mleka, a nie z mięsa.

DOZA dla dorosłych: po łyżeczce od herbaty w kawie, mleku i t. p. po 3 — 4 razy dziennie.

Dla dzieci: stosownie do wieku od 1 grama—(około 1/4 zołotnika) do 8 gramów (około 2 zołotników) w 3 dawkach.

Sprzedaż Somatozy we wszystkich aptekach oraz znaczniejszych składach materjałów aptecznych.

DOM BANKOWY
Wma LANDAU

Podaje do wiadomości, że wynajmuje kasetki stalowe (Safes), znajdujące się w opancerzonym skarbcu (Compound-Panzer) nowowybudowanego gmachu przy ulicy Senatorskiej № 42 (plac Resursy Kupieckiej) i urządzone podług ostatnich wymagań techniki.

Wydawnictwa Naukowe

we wszystkich księgarniach

H. Höffding, Zasady Etyki	Cena kop. 25
T. Ribot, O wyobraźni twórczej	„ „ 25
Gide i Belot, Miłosierdzie, sprawiedliwość i dobór naturalny	„ „ 15
Ferrero, Czynniki postępu moralnego	„ „ 15
Münsterberg, Nauka w stosunku do życia i sztuki	„ „ 15
J. Sully, Dusza dziecka (psychologja dziecka)	rb. 2 k. 50
J. Wł. Dawid, Zasób umysłowy dziecka	„ „ 60
F Paulsen, Kant i jego nauka, przekład polski uzupełniony wyjątkami z dzieł Kanta	rb. 2.

Prenumeratorzy Przeglądu Społecznego nie ponoszą kosztów przesyłki.

Sully Jakób.

Dusza Dziecka

tłomaczyła

Izabella Moszczeńska

Cena rb. 2, 50 k.

ŻAKŁAD

Stolarsko-Tapicerski

firmy

„STANISŁAW"

Erywańska 14

Trzeci dom od Marszałk. (wprost skweru).

Posiada na składzie różne *Meble* i przyjmuje zamówienia na urządzenia apartamentów po cenach nizkich.

WYKONANIE SUMIENNE.

Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński.* Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.